



Charles Seltzer

Szef rancza



63

ISBN 978-83-67875-79-7

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Charles Alden Seltzer

SZEF RANCZA



Charles Alden Seltzer (15 sierpnia 1875 – 9 lutego 1942) – amerykański pisarz, płodny twórca westernów. Stworzył kilkanaście scenariuszy filmowych i napisał wiele opowiadań, głównie publikowanych w „Argosy” (a także m.in. w „Adventure”, „Western Story Magazine” i amerykańskiej edycji „Pearson’s Magazine”).

Urodził się w Janesville w Wisconsin. Zanim stał się odnoszącym sukcesy pisarzem, był ulicznym sprzedawcą gazet, telegrafistą, malarzem, stolarzem, inspektorem budowlanym, redaktorem małej gazety i rzeczoznawcą. Ponieważ wytrwale dążył do tego, by osiągnąć pisarski sukces, wraz z rodziną żył w biedzie – napisał około dwustu tekstów, zanim któryś z nich został przyjęty, a w tym czasie żona przynosiła mu od rzeźnika papier pakowy, żeby na nim pisał.

Westerny opierał na doświadczeniu wyniesionym ze swojego pięcioletniego pobytu w Nowym Meksyku. Pod koniec życia (w latach 1930-35) został wybrany burmistrzem North Olmsted w Ohio. Jest tam wspominany z dużym szacunkiem i respektem – założył m.in. pierwszą straż pożarną, stworzył plany pierwszej linii autobusów miejskich i dla dobra mieszkańców walczył z potężnymi firmami (m.in. energetycznymi).

Po zyskaniu uznania jako pisarz, jego historie dość szybko trafiły do Hollywood, gdzie stały się kanwami wielu filmów wczesnego okresu kina: najpierw niemych, a później udźwiękowionych.

Zadebiutował w 1900 roku powieścią *The Council of Three*, a jego ostatni wydany tekst, już pośmiertnie, to *So long, sucker* z 1943 roku. Napisał w sumie trzydzieści dziewięć książek, z których dwadzieścia trzy były publikowane w odcinkach w „Argosy”. Do jego najśłynniejszych i zekranizowanych powieści należą *The Range Boss* (1916, ekranizacja 1917), *The Boss of the Lazy Y* (1915, 1917) oraz *The Trail to Yesterday* (obie w 1918). Poza tym dużą popularnością cieszyła się trylogia *Opowieści z Dry Bottom* (*Tales of Dry Bottom*), składająca się z następujących powieści: *The Two-Gun Man*, *The Coming of the Law* oraz „*Firebrand*” *Trevison*.

Charles Alden Seltzer



SZEF RANCZA

Przełożyła i przypisami opatrzyła Magdalena Kizeweter

**Sto sześćdziesiąta trzecia publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Sześćdziesiąty trzeci tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Range Boss

© Copyright for the Polish translation
by Magdalena Kizeweter, 2025

10 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2025

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Maria Sarnowska
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-79-7

Rozdział I

Przeprawa przez Calamity

 spinaczka na płaskowyż stanowiła nie lada wyzwanie, ale sądząc po ruchach i wyglądzie umięśnionego kuca¹ oraz towarzyszącego mu jeźdźca, była zadaniem do wykonania. To prawda, że na część drogi mężczyzna uznał za stosowne zsiąść z konia i puścić go przodem, a samemu stąpać za nim. W końcu jednak dotarli na górę, a po krótkim odpoczynku człowiek znów dosiadł wierzchowca i pojechał wzdłuż płaskiego szczytu.

Kilka susów doprowadziło kuca i jeźdźca do miejsca, w którym płaskowyż schodził z powrotem w dół, aby spotkać się z rozciągającą się na wiele mil równiną, przechodzącą w pogórze. Gdzieś spośród pagórków wychodził dziki szlak, który obiegał równinę i prowadził spadkiem do rzeki, znajdującej się w dole, u stóp jeźdźca, następnie przechodził przez wodę, dalej po płaskiej powierzchni terenu, potem znów wspinał się pod górkę, na kolejną równinę, i znikał w oddali. W górze i w dole rzeki woda płynęła wartko kanionem, a wyrastające z obu stron wielobarwne ściany wydawały się ograniczać jej bieg, ale w miejscu przeprawy strumień znacznie się rozszerzał i z chlupotem wirował wokół leżących na dnie licznych kamieni.

Spojrzenie mężczyzny na chwilę spoczęło na rzece i szybko omiotło bród.

¹ *Kuc* – bohaterowie jeżdżą na niewielkich, krępych, i podobno często narowistych, koniach rasy *cayuse* – słowo to pochodzi od nazwy plemienia Indian Cayuse, które zamieszkiwało terytorium obecnego stanu Oregon; kuce *cayuse*, dla osoby nieznającej się na koniach, nie odbiegają szczególnie wielkością od stereotypowego przedstawiciela tego gatunku.

– Prędko płynie dziś z rana – powiedział na głos, mając na myśli wodę. – Obstawiam, że błoto sięga tam połowy koła wozu – dodał, patrząc na płaską powierzchnię po drugiej stronie rzeki. – Gdyby ktoś spytał, powiedziałbym, że przez deszcz z wczorajszego wieczora, Calamity¹ jest trochę nieprzyjazna dziś rano, jeśli chodzi o podróż wozem. – Wyciągnął srebrny zegarek i przyjrzał mu się z poważnym zastanowieniem. – Jedenasta. Mniej więcej teraz powinni już być, jeżeli pociąg z ósmej przyjechał na czas, co się chyba jeszcze nie zdarzyło.

Schował zegarek z powrotem do kieszeni i odjechał wzdłuż krawędzi płaskowyżu, zostawiając rzekę za sobą i wpatrując się w punkt, w którym szlak przechodzący przez znajdujące się w dole równiny zniknął wśród odległych pagórków. Chwilę później znów zatrzymał konia, zakołysał się na boki w siodle i skrzył papierosa. Paląc i rozglądając się, wyjął dwa rewolwery, otworzył i zamknął bębni, a potem przetaił i przepolerował metal, aż broń zaczęła błyszczeć jasno w migoczącym słońcu. Długo przyglądał się rewolwerom zanim schował je na miejsce, a w jego spojrzeniu czaiło się powątpiewanie.

– Obstawiam, że zupełnie inaczej ją wychowano – brzmiała konkluzja tych rozmyślań.

– Ale tak czy siak, myślę że w nazwie Poughkeepsie² nie ma nic takiego, co by uprawniało kogokolwiek stamtąd do zadzierania nosa. – Wyrzucił niedopałek i kontynuował monolog ze zmarszczonym czołem: – Flying W³ to nie miejsce dla damy. Żadna dama nie powinna nawet patrzeć na Jima Picketta i Toma Chavisa, a co dopiero z nimi rozmawiać. No i są też inni. Ale gdyby przyjeżdżała do Diamond H; nie, do diabła! Może wcale

¹ Calamity (ang.) – nieszczęście.

² Poughkeepsie – miasto we wschodniej części USA, w stanie Nowy Jork.

³ Rancza Flying W i Diamond H – naprawdę obecnie istnieją, mają swoje strony internetowe.

by nie pomyślała, że jestem lepszy od Picketta i Chavisa! Choć, jeśli wygląda tak, jak na zdjęciu, to ma rozum. No i...

Zobaczył, że koń strzyże uszami, na co podążył za jego wzrokiem i na szlaku biegnącym przez równinę, daleko, przy miejscu, w którym droga stapiała się z pogórzem, spostrzegł punkcik przemieszczający się wolno w ich kierunku.

Odchylił się w siodle i z uśmiechem poklepał kuca po szyi.

– Też na nich czekasz, co, Patches¹? Mądry z ciebie koń!

Zawrócił wierzchowca i pokierował go powoli z powrotem wzdłuż płaskowyzu. Jechał przy krawędzi do miejsca ukrytego za pokaźną gęstwiną dębów, gdzie się zatrzymał. Stąd nie będzie można go zauważyć ze szlaku na równinie. Znów zakołysał się w siodle, oparł o wysoki tylny łęk² i opuścił szerokie rondo kapełusza głęboko na oczy, osłaniając je przed słońcem i wpatrując się intensywnie w poruszający się punkcik.

Patrzył tak przez pół godziny, a mała kropeczka rosła w jego oczach, by wreszcie osiągnąć konkretny kształt. Rozpoznał wóz³ i ciągnące go kare konie; przez ostatnie dwa lata one i wóz były nierozłączne, ponieważ Bill Harkness, właściciel Flying W, nie używał żadnych innych, odkąd dopadła go ostatnia choroba, która ostatecznie wykończyła go parę miesięcy wcześniej. Karosze biegły szybko, pokonując dystans niestrudzonymi susami, skutecznie stosowanymi przez konie z równin, i kiedy były już blisko miejsca, w którym ustawił się jeździec, ten ostatni rozchylił gałęzie gęstwy i wyrżał zza nich, z błyszczącymi oczami i zarumienioną twarzą.

– Jest ich czwórka w wozie – powiedział na głos, z zaskoczeniem przyglądając się zbliżającemu się pojazdowi – i nie ma

¹ *Patch* – *latka*, koń naszego bohatera jest łaciatym kucem.

² *Łęk* – część siodła, zarówno z przodu, jak i z tyłu, nieco wygięta ku górze.

³ *Wóz*, w oryginale *buckboard* – pojazd z miejscami do siedzenia i czterema sporej wielkości kołami, do którego zaprzęgano konie lub inne zwierzęta; wymyślił go amerykański duchowny Cyrus Comstock, w I połowie XIX wieku.

z nimi Wesa Vickersa! Patrzcie państwo! Wes mówił mi, że będzie tylko dziewczyna, z ciotką i wujem. A jest też mężczyzna i to on powozi! Obstawiam, że Wes się upił i go zostawili. – Zastanowił się przez chwilę, patrząc zmrużonymi oczami i marszcząc brwi. – Ten gość, który powozi, to obcy, Patches – odezwał się. – No, wszystko jasne. Czworo ludzi w wozie, do tego torby i walizki, to wystarczająco dużo, więc dla Wesa nie było już miejsca! – Uśmiechnął się szeroko.

Wóz dotoczył się do podnóża zbocza w dole, na co jeździec ochoczo zlustrował pasażerów, na dłużej zatrzymując spojrzenie na dziewczynie siedzącej obok woźnicy. Przez chwilę popatrzyła w jego kierunku, bez wątpienia zainteresowana zielenią okalającą płaskowyż, i udało mu się wyraźnie ujrzyć jej twarz. Była taka sama jak na zdjęciu, które Wes Vickers przyniósł mu cichaczem pewnego dnia kilka tygodni wcześniej, po śmierci Harknessa, po tym jak w rozmowie na temat bratanicy Billa, która teraz została wyłączną właścicielką Flying W i wkrótce miała przybyć na miejsce, żeby zająć się swoim dobytkiem, jeździec okazał ciekawość. Mimo protestów Vickersa, zatrzymał zdjęcie i oglądał je uważnie wiele razy. Przyjrzał mu się i teraz, po tym jak wóz już przejechał, i był niesamowicie ukontentowany, ponieważ oryginał był lepszy od portretu.

Niezadowolenie opanowało go natomiast na wspomnienie woźnicy. Odczuwał dziwny niepokój na myśl o tym, że towarzyszy dziewczynie w podróży ze wschodu. Wiedział, że stamtąd pochodzi, ponieważ żaden mieszkaniec zachodnich rejonów nigdy nie ustroiłby się w tak niedorzeczny sposób – Stetson¹ w kremowym kolorze z bardzo szerokim rondem i spiczastą główką, otoczoną niklowanymi ozdobami, biała koszula z szerokim wy-

¹ Stetson – rodzaj kapelusza, taki, który najbardziej kojarzy się z kowbojami i z Dzikim Zachodem.

kładanym kołnierzem i błękitny szalik; do tego pas na naboje dopasowany w talii, lśniący nowością, tak że człowiek na płaskowyżu niemal słyszał jak skrzypi w odpowiedzi na ruchy swojego właściciela, sztruksowe spodnie do jazdy konnej, mocno przylegające w kolanach, i błyszczące buty ze sztywnymi cholewkami. A do tego coś, na co oczy obserwującego rozbłysły drwiną – patrząc na przejeżdżający wóz, na jednym z tych niedorzecznych butów zauważył migotanie niklowanej ostrogi z dużymi gwiazdkami.

Chichocząc, cały uśmiechnięty, poprowadził konia wzdłuż płaskowyżu, w kierunku, w którym jechał wóz. Dotarł do miejsca, w którym znalazł się tuż nad nim, dyskretnie ukryty w zaroślach, z powagą przyglądając się pojazdowi i jego pasażerom. Wóz zatrzymał się nad wodą, a kare konie zaspokajały pragnienie. Dziewczyna coś mówiła; obserwujący wyraźnie słyszał jej głos.

– Co za nieokiełznany, ponury krajobraz! – powiedziała. – A jednak piękny.

„Ma dziewczyna rozum” – pomyślał jeździec, dziwnie zadowolony z tego, że podoba jej się świat, w którym on żyje. Bo to było jego miejsce; tu się urodził.

– Nie sądzisz, Willard? – dodała.

Jeździec nastawił uszu i usłyszał mrukliwą odpowiedź:

– Sądzę, że to wystarczająco dobre miejsce dla tych ciemiegów, którzy tu mieszkają.

Dziewczyna zaśmiała się wyrozumiale, na co jeździec na płaskowyżu zareagował uśmiechem.

– Coś mi się zdaje, że nie polubię Willarda ani ociupinę, Patches – odezwał się do konia. – Krytykuje naszą okolicę – Przyjrzał się uważnie dziewczynie i woźnicy. – Myślisz, że to jej brat, Patches? Wydaje mi się, że nie, tak się od siebie różni.

– Uważasz, że tu jest bezpiecznie? – Głos dziewczyny znów dobiegł jego uszu; patrzyła na wodę przepływającą przez bród.

– Vickers powiedział, że tak – odparł woźnica. – Chyba wie o czym mówi. – W jego głosie czuć było irytację.

– Obstawiam, że to jej brat – zauważył człowiek na płaskowyżu. – Żaden wybranek serca nie mówiłby tak do swojej ukochanej. – Słysząc było ulgę w tych słowach, ponieważ mężczyzna już wcześniej miał nadzieję, że przybysz jest krewnym dziewczyny.

– Vickers powiedział, że w połowie drogi trzeba ostro skrócić w lewo – oznajmił doniośle woźnica. – Ale nie widzę żadnych śladów kół. Musiał je zniwelować ten nieszczęsny deszcz z poprzedniej nocy.

– Obstawiam, że deszcz faktycznie je zniwelował – uśmiechnął się jeździec, z mozołem wypowiadając ostatnie słowo. – Jeśli ma to znaczyć, że je zatarł. Tak czy inaczej, już ich tu nie ma.

– Jestem prawie pewna, że pan Vickers powiedział, żeby pojechać w prawo w połowie drogi, Willard – odezwała się dziewczyna.

– Z pewnością byłbym w stanie to zapamiętać, Ruth! – odpowiedział szorstko woźnica. – Słyszałem wyraźnie co mówił!

– Cóż – odrzekła dziewczyna, zaśmiawszy się nerwowo – może jednak się pomyliłam. – Delikatnie położyła dłoń na ramieniu woźnicy. Słowa, które padły z jej ust zostały wypowiedziane tak cicho, że nie dotarły do uszu jeźdźcy. Woźnica zaśmiał się z zadowoleniem.

– Sama to powiedziałaś! – ogłosił. – Zdecydowanie potrafię doprowadzić nas do bezpiecznej przystani! – Szarpnął wodze i ostro przemówił do koni. Odpowiedziały zrywem, który wcisnął pasażerów wozu w siedzenia.

Oczy jeźdźcy rozbłysły.

– Oho! – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Calamity upomina się o kolejną ofiarę! – Podniósł dłoń do

ust i zwinął ją w trąbkę. Już miał zawołać do woźnicy, ale zastanowił się i opuścił rękę. – E tam – stwierdził – obstawiam, że nie ma prawdziwego niebezpieczeństwa. Ale widzi mi się, że z piękniejsia zaraz zmyje się ta elegancja.

Pochylił się i obserwował wóz, z wysuniętą do przodu smukłą dolną szczęką i zaciętym uśmiechem. Z zadowoleniem zauważył, że starsza para na tylnym siedzeniu oraz dziewczyna na przednim trzymają się mocno, natomiast woźnica, zajęty lejcam, kołysze się na boki, rzucany podskokami pojazdu pokonującego nieprzyjazne kamienie na dnie potoku.

Kare konie bezpiecznie dotarły do połowy przeprawy, gdzie zdecydowały się podążyć w prawo, podczas gdy woźnica, ostro szarpiąc lejce, włożył całą siłę w skierowanie ich na lewo. Przez kolejne kilka stóp szły dość równo, ale jeszcze w pewnej odległości od brzegu, koń znajdujący po lewej stronie nagle stanął jak wryty, szarpnął do przodu, wspiał się na tylne nogi, bezsilnie machając przednimi w powietrzu, po czym z powrotem opadł na wszystkie cztery, trzęsąc się i prychając.

Woźnica zrozumiał swój błąd zbyt późno. Kiedy koń się zatrzymał, mężczyzna z całej siły pociągnął za cugle z prawej strony, chcąc naprawić niekorzystną sytuację. Ten ruch pozbawił go równowagi i sprawił, że ześlizgnął się z siedzenia, na co uczeplił się pojazdu i rozpaczliwie próbował wrócić na miejsce. W rezultacie przód wozu natychmiast poszedł na dół i z pluskiem zatonął w błotnistej wodzie. Przekrzywił się przy tym, więc miejsce gdzie siedziała dziewczyna znalazło się wysoko nad wodą; ona sama trzymała się mocno i nie zagrażało jej że się zamoczy, a starsi państwo z tyłu również byli bezpieczni i susi, za to wyraźnie wystraszeni.

Dziewczyna nie krzyczała, co jeździec na płaskowyżu odnotował z satysfakcją. Przemawiała za to do woźnicy, który naj-

pierw zniknął, tylko po to by za moment pojawić się z powrotem, wściekły, z przekleństwami na ustach, głową i ramionami wystającymi z wody, idiotycznym kapeluszem odpływającym błogo w dół rzeki i lejcami wciąż w rękach.

– Obstawiam, że już zrozumiał, że Vickers kazał mu skrócić w prawo.

Jeździec uśmiechnął się z wysokości. Patrzył za woźnicą, dopóki ten nie dotarł do brzegu i nie stanął na nim, ociekając wodą i gestykulując, targany bezsilnym gniewem. Wozu nie dało się ruszyć nie naruszając wygody pasażerów i bez pomocy niechybnie musieliby w nieskończoność tkwić w miejscu, w którym się obecnie znajdowali. Jeździec zawrócił więc kuca i skierował go w stronę krawędzi płaskowyżu, gdzie łagodne zejście prowadziło w dół na równiny.

– Obstawiam, że muszę ją uratować – powiedział uśmiechając się z odrobiną zakłopotania – choć jest mi sakramencko przykro, że Willard musiał zamoczyć swoje nowe ciuchy.

Przemówił zachęcająco do konia, na co ten ostrożnie przestąpił krawędź płaskowyżu i rozpoczął wędrówkę w dół, bezładnie rozrzucając przed sobą kamyki i piasek. Jeździec siedział w siodle wyprostowany i swobodny, wodze puścił wolno, całkowicie ufając mądrości swojego wierzchowca.



Rozdział II

Życzliwy wybawca

W połowie drogi w dół jeździec spojrzął na przybyszów i zorientował się, że Willard i pasażerowie wozu przyglądają mu się. Rumieniec na jego policzkach stał się wyraźniejszy a zakłopotanie wzrosło, kiedy zauważył, że dziewczyna zwróciła się prosto w jego stronę, zapominając o swoim niepewnym położeniu. Miała złożone ręce, tak jakby modliła się za jego bezpieczeństwo. Ciotka i wuj również odwrócili się i pochylili w jego kierunku, bacznie go obserwując, a Willard, wolny od zagrożenia, stał na swoim brzegu rzeki z zaciśniętymi dłońmi.

– Kojarzysz, że ryzykujemy złamanie karku, ty mój pstrokaty dzikusie? – przemówił jeździec do konia. – No cóż – kontynuował, kiedy zwierzę zarżało cicho na dźwięk jego głosu – ci ludzie kojarzą i jeżeli masz dla nich choć trochę szacunku, będziesz bardzo uważał.

Pokonali zejście w mgnieniu oka, po czym zbliżyli się do znajdującego się w opałach wozu i jego pasażerów – kuc z obojętnością, a jego właściciel, pokonawszy zażenowanie – pogodny, niewzruszony i wewnętrznie rozbawiony.

Kiedy dotarł do granicy wody, zatrzymał konia. Siedząc nieruchomo w siodle, w ciszy przyglądał się pasażerom wozu. Przybył tu by im pomóc, ale nie zamierzał ofiarować swoich usług nie upewniwszy się, że są mile widziane. Znał opowieści o snobizmie i niezależności niektórych ludzi ze wschodu.

Siedział więc długo, ponieważ pasażerowie wozu, nie znając jego intencji, czekali z kolei na jakieś słowo z jego ust.

Żadne słowo nie padło. Spojrzał w dół, z zainteresowaniem przyglądając się jak Patches zaspokaja pragnienie. Następnie, kiedy koń skończył pić, jeździec spojrział w górę, prosto na dziewczynę. Siedziała wyprostowana jak struna – na tyle, na ile była w stanie w tych warunkach, ze wszystkich sił starając się powstrzymać gniew spowodowany jego biernością. Widziała, że celowo powstrzymuje się od działania, i chłodno odpowiedziała na jego spojrzenie.

Przeniósł wzrok na Willarda. Przybysz ze wschodu przyglądał się uważnie małemu pistoletowi, który wyjął z żółtej kabury przy pasie, umiejscowionej tak wysoko, że był zmuszony zgąć rękę pod kątem ostrym, żeby go wyciągnąć. Jego dłonie drżały – czy dlatego, że się zamoczył, czy z powodu wątpliwości co do intencji jeźdźcy, nie interesowało tego ostatniego, który z powrotem spojrział na dziewczynę. W jej oczach pojawiła się wątpliwość; patrzyła na niego nieco bojaźliwie i spostrzegł, że po części podejrzewa, że oto stoi przed nią przestępca mający złe zamiary. Uśmiechnął się, rozbawiony.

Uspokoila się, uśmiech załatwił sprawę. Odwzajemniła go, nieco żałośnie. Poczula też, że, zważywszy na sytuację, może zrezygnować z formalności i od razu przejść do sprawy. W końcu było jej niewygodnie, a ciotka Martha i wuj Jepson niecierpili się, nie mówiąc już o Willardzie, który przełożył pistolet za siebie, zdecydowany bronić swoich towarzyszy do ostatka, jeśli przybyły mężczyzna okazałby się bandytą.

Jednak jeździec w dalszym ciągu się nie poruszył. Nie było powodu do pośpiechu – jedynym faktycznym poszkodowanym był chyba Willard, ponieważ w powietrzu cały czas czuło się zimowy chłód. Ale w końcu Willard zasłużył sobie na zimny prysznic.

Dziewczyna odchrząknęła. – Zdarzył nam się wypadek – poinformowała jeźdźcę odrobinę chrapliwym głosem.

Na to on zerwał kapelusz z głowy i skłonił się w jej kierunku.

– No cóż, zgadzam się, że tak, psze pani – powiedział. – Nie mieliście woźnicy?

– Ależ mieliśmy – odparła dziewczyna z wahaniem, ponieważ wydało jej się, że wyczuwa sarkazm w głosie rozmówcy, i musiała spojrzeć na niego jeszcze raz, żeby się upewnić, po czym sama już nie wiedziała. – Powozi ten pan, tam, na brzegu.

– Aha, ten pan na brzegu? – odrzekł rozwlekłe jeździec. W tym właśnie momencie, po raz pierwszy zdał się świadom obecności Willarda i spojrzał na niego uważnie. – Niech mnie, jest cały mokry! – wykrzyknął. – Spodziewam się, że prawie utonął, czy mam rację, psze pani? – Ponownie popatrzył na dziewczynę, a w jego oczach malowało się zadziwienie. – Czyli wwiózł was w to bajoro i wypadł z wozu! Nikt mu nie powiedział, że nie można ufać Calamity?

– Pan Vickers powiedział nam, żebyśmy trzymali się prawej strony, kiedy dotrzemy do połowy brodu – odparła dziewczyna.

– Wyraźnie słyszałem, że mówił o lewej stronie, Ruth – zawarczał Willard.

Jeździec obserwował twarz dziewczyny, widział jak wypływa na nią rumieniec i skrywane emocje sprawiły, że jego usta zadrżały.

– Obstawiam, że pani brat ma rację, psze pani. Vickers chciał was wszystkich utopić.

– Pan Masten nie jest moim bratem – zaprzeczyła dziewczyna. Rumieniec na jej twarzy stał się bardziej wyraźny.

– No cóż – powiedział jeździec.

Schylił głowę i poklepał kuca po grzywie, żeby ukryć rozczarowanie. Dziewczynie ponownie wydało się, że celowo zwleka, i ze zdenerwowania zagryzła wargi.

Willard zdawał się podzielać to wrażenie, ponieważ krzyknął gniewnie:

– Kiedy ty sobie rozmawiasz, dobry człowieku, ja zamarzam. Czy jest jakaś możliwość, żebyś wyciągnął stąd wóz i moich towarzyszy? Jakaś droga ucieczki z tej wody?

– No cóż, wydaje mi się, że jakaś droga jest – wycedził jeździec, mierząc Mastena niewzruszonym wzrokiem. – Zastanawiam się dlaczego wcześniej pan o niej nie wspomniał.

– Na Boga! – rzekł Masten do dziewczyny z obrzydzeniem, które nadało chropawość tonowi jego głosu. – Czy wyobrażasz sobie, że można być aż tak głupim?

Dziewczyna jednak nie opowiedziała. Kiedy jeździec patrzył na Mastena, spostrzegła w jego oczach błysk, który sprawił, że głęboko zaczerpnęła powietrza. W oczach mężczyzny ujrzała podstęp, subtelność i dowcip. Głupi, też coś! Zastanawiała się jak Masten może być tak tępy!

Potem zorientowała się, że jeździec zmierza przez wodę w jej kierunku i za chwilę patrzyła prosto na niego z odległości nie większej niż pięć stóp. Wpatrywał się w nią ze szczerą ciekawością, jego pociągła, silna twarz promieniała zdrowiem, usta były stanowcze, oczy spokojne i pogodne, a z każdego ruchu emanowały męskość i pewność siebie. A potem odezwał się do niej, cichym łagodnym głosem, przepełnionym szacunkiem, a nawet uniżeniem. Wydawało się, że nie czuje urazy do Willarda, że w ogóle o nim zapomniał.

– Obstawiam, że wszyscy będziecie musieli wydostać się stąd na moim koniu, psze pani – powiedział – jeżeli to wam pasuje. No cóż, spodziewam się, że tak; najpierw powinienem zabrać starszych państwa, psze pani – podsumował, kiedy dziewczyna na nich wskazała.

Cofnął się nieco i uśmiechnął do ciotki Marthy, która okazała się małą, siwą kobietą o przyjemnej twarzy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, niczym podrośnięty chłopak zwracający się do swojej babki.

– Obstawiam, że pani będzie pierwsza, ciotucho – odezwał się do niej. – Rach-ciach i jest pani na brzegu, sucha i bezpieczna. Ale tu nie może pani usiąść – dodał, kiedy ciotka Martha podjęła próbę wdrapania się na miejsce za jego plecami. – Ten mój Patches jest bardzo zadziorny i tak nie umie. Mógłby zrzucić nas oboje i wtedy też byśmy zamarzali. – Zerknął z ukosa na Willarda.

Ciotka Martha otrzymała instrukcję, żeby stanąć na krawędzi wozu. Trzęsąc się nieco, lecz z uśmiechem na twarzy, została jednym ruchem podniesiona w górę i umieszczona bokiem w siodle przed jeźdźcem, po czym w ten sposób przetransportowana na brzeg, wysoko na zbocze, daleko od głębokiego błota rozpościerającego się na płaskim terenie przy granicy wody, i tam ostrożnie usadzona, podczas gdy wypowiadała słowa podziękowania.

Następnie wybawca wrócił po wuja Jepsona. Po drodze do miejsca, gdzie siedziała ciotka Martha, wuj, który badawczo przyglądał się jeźdźcowi podczas jego rozmowy z Willardem, znalazł czas, żeby wyszeptać:

– Miałem kiedyś muła, który był równie uparty jak Willard Masten.

– Nie przypomina sobie pan jak go z tego wyleczył?

– Owszem, pamiętam. Kijem! – Oczy wuja Jepsona rozbłysły mściwie.

– Obstawiam, że jest w panu kawał prawdziwego mężczyzny, psze pana – powiedział jeździec.

Umiejszczył wuja Jepsona obok ciotki Marthy i zawrócił konia w stronę rzeki, po swojego ostatniego pasażera. Masten zamachał na niego władczo.

– Jeżeli to dla ciebie bez różnicy, dobry człowieku, ja pomogę pannie Ruth dostać się na brzeg. Po prostu podjedź tu!

Jeździec zatrzymał kuca i siedział spokojnie w siodle, poważnie taksując woźnicę przez rozdzielające ich morze błota.

– O, wychodzi na to, że jeszcze pan nie zamarzł! – zawołał z udawanym zaskoczeniem. – Wciąż może pan nieźle ruszać ustami! Więc chce pan wziąć mojego wierzchowca! – Siedział obserwując przybysza ze wschodu z głębokim, afektowanym zdumieniem. – Och, Willard – odezwał się, gdy zdało się, że już otrząsnął się z osłupienia – Patches na pewno chciałby powywyijać koziółki¹ i zrzuciłby cię z powrotem w sam środek tej brei! – Popędził konia przez wodę, w stronę wozu, i zatrzymał się przy dziewczynie.

Miała purpurową twarz, ponieważ usłyszała co mówił Masten i dla jeźdźcy było jasne, że odgadła, że to zazdrość kazała Mastenowi nalegać na zamianę. Przystając obok, jeździec spojrzał przelotnie w jej oczy i dostrzegł w nich kobiecą przekorę, a może nawet coś potężniejszego. Mógł teraz popełnić błąd i wspomnieć o Mastenie, w ten sposób sprawiając, że dziewczyna szybko odmówi mu swojego towarzystwa. Przecież przedstawił Mastenowi wymówkę, a pozwolenie na to, żeby dziewczyna poznała jego prawdziwe powody byłoby zamachem na jej lojalność. Silnie podejrzewał, że jest zdecydowana ukarać Mastena za jego upór i cieszyła go jej stanowczość.

– Czekamy na panią, psze pani.

– Czy jest pan pewien, że Patches nie będzie chciał „wywyijać koziółków” ze mną na grzbiecie? – zapytała stając na krawędzi wozu. Obdarzył ją krótkim radosnym uśmiechem, z przyspieszonym biciem serca zauważając kolor na jej policzkach, jasność delikatnej skóry i roztańczone oczy – wszystko to w oprawie kaptaura płaszcza przeciwdeszczowego, który miała na sobie.

Wyciągnął dłonie w jej stronę, objął ją w tali i podniósł na siodło, na miejsce poprzednio zajmowane przez ciotkę Marthę.

¹ *Wywyijać koziółki* (ang. sunfishing) – koń wygina ciało w łuk i rusza głową na boki; można obejrzeć to, kiedy kowboje ujeżdżają konie na rodeo.

Jeżeli przyciskał ją do siebie trochę bardziej niż ciotkę, winny mógł być temu wiatr, który wdmuchiwał mu luźne kosmyki jej włosów prosto twarz, co wywoływało w nim osobliwe emocje, które ledwie był w stanie kontrolować.

Teraz, kiedy była bezpieczna w siodle i kiedy minęło już ryzyko, że nie zgodzi się z nim jechać, odpowiedział na pytanie:

– Patches nie byłby nieuprzejmy dla damy, psze pani – szepnął w jej włosy – nie zrzuciłby pani.

Nie widział jej twarzy – była za blisko niego, a jego broda znajdowała się wyżej niż czubek jej głowy. Ale dosłyszał rozbawienie w jej głosie:

– Więc okłamał pan Willarda!

– No cóż, tak, psze pani, zdaje się, że tak. Widzi pani, nie chciałem, żeby Patches się ubłocił w drodze po niego.

– Ale teraz prowadzi go pan w błoto! – oznajmiła dziwnie stłumionym głosem.

– No cóż, chyba tak – odparł wesoło. – Zdaje się, że głupek ze mnie!

Zsadził ją z konia minutę później, obok wuja Jepsona i ciotki Marthy, po czym został przy niej jeszcze przez chwilę, ponieważ jej bliskość sprawiła, że krew krążyła mu szybciej, a w piersi pojawiło się nienazwane pragnienie bycia obok. Spędził wcześniej wiele godzin wpatrując się w jej podobiznę, marząc o tej chwili, albo o innej, podobnej do tej, a teraz, kiedy marzenie się spełniło, zdał sobie sprawę, że rzeczywistość przerosła oczekiwania. Niezmiernie mu się podobała.

„Jest o wiele ładniejsza niż na zdjęciu” – pomyślał przyglądając się jej. Była zwrócona do niego plecami, rozmawiała z krewnymi, ale nie potrzebowała stać z nim twarzą w twarz, żeby wzbudzić jego uwielbienie. „Czy nie wiedziałem, że jest niska?” – zastanowił się oszacowując jej wzrost – „nie sięga mi nawet do ramienia”.

Nie zapomniał o Mastenie. Jego oczy zaiskrzyły rozbawieniem, kiedy zawrócił konia i skupił wzrok na jegomościu po drugiej stronie rzeki.

– Ciekawe okazy spotkać można wszędzie – stwierdził. – Ten tutaj to zrzędlawy buc. Obstawiam, że nie jest dla niej nikim ważnym, bo przecież nie wybrałaby mojej pomocy, kiedy on tak hojnie wyleciał ze swoją.

Na wspomnienie tej sytuacji aż zatrzęsł się ze śmiechu i pochylił głowę nad karkiem konia, żeby ukryć chichot. Kiedy spojrział w górę, ujrzał Mastena stojącego sztywno i przyglądającego mu się z wściekłością na twarzy.

– Spodziewam się, że mam tu stać i marznąć kiedy ty sobie siedzisz i śmiejesz się do rozpuku jak głupek! – krzyknął przybysz ze wschodu. – Mam w walizce w wozie suche ubranie, które mógłbym włożyć, jeżeli udałoby mi się spowodować, że nieco się pospieszysz.

– O, cholercia. Prawie o tobie zapomniałem, Willardzie – odparł jeździec. – Więc masz inne ciuchy! Tyle że są w walizce na wozie i nie możesz się do nich dostać. I zamarzasz, a ja się z ciebie śmieję. Masz tu prawdziwy pasztet, Willardzie, co nie? A wszystko to, bo uparłeś się jechać w lewo zamiast w prawo.

– Niech się pan pospieszy, proszę! – dobiegł go z dołu głos dziewczyny.

Spojrzał na nią z poczuciem winy, ponieważ właśnie zamierzał powiedzieć Mastenowi kilka podłych rzeczy – prawie zupełnie stracił do niego cierpliwość. Jednak słowa Ruth sprawiły, że powrócił jego spokojny, dobry charakter.

– Jasne, już lecę, psze pani.

Popędził konia z powrotem do rzeki, podjechał do wozu i zsiadł na niego, przyklęknął na siedzeniu, sięgnął pod wodę i zajął się uprzężą. Następnie, idąc po dyszlu, który nieco wysta-

wał z wody, jeszcze raz zanurzył rękę i pogrzebał przy lejcach. Potem odsunął się nieco i pogonił karosze delikatnym uderzeniem i słowami; przebrnęły przez potok i dotarły do brzegu, gdzie stanęły, strząsając wodę z połyskliwych grzbietów.

Ponownie dosiadł kuca i podjechał do tyłu wozu. Sznur zwieszający się z przedniego łuku siodła zaczepił na środku tylnej osi. Następnie ustawił konia tyłem do wozu, ostrożnie odjechał na całą długość liny, zatrzymał się, kiedy się naprężyła, po czym powoli, z drugim końcem liny mocno przyczepionym do rożka siodła¹, wyciągnął wóz na równą powierzchnię dna rzecznego.

Z powrotem podjechał pod tył wozu, odczepił linę, zwinął ją i wrócił na brzeg, gdzie złapał karosze i poprowadził je na zbocze, w miejsce, w którym znajdowali się dziewczyna oraz jej ciotka i wuj. Uprzejmie poprosił wuja Jepsona, żeby przytrzymał konie, ponieważ obawiał się, że mogą się samowolnie oddalić, a potem, uśmiechając się dziewczyny i ciotki Marthy, wrócił do wozu. Znowu rozwinął linę, zaczepił jeden jej koniec o dyszel i jeszcze raz, tak samo jak wcześniej, oddalił się od wozu, żeby się napięła. Następnie wydał komendę koniowi i wóz został przeciągnięty przez wodę, na samą krawędź morza błota.

Błoto wyglądało na zdradliwe, ale nie było innej drogi wyjścia, więc po chwili odpoczynku znowu popędził konia. Wóz pokonał odcinek równy swojej długości, po czym zapadł się w koleinę i nie chciał ruszyć się ani o stopę, mimo wysiłków kuca i ponagleń jeźdźca.

Jeździec zatrzymał się, obrócił w siodle i skonsternowany podrapał się po głowie.

– Obstawiam, że znowu wpadliśmy w kłopoty, Patches – powiedział. Zlustrował zbocza i zdecydował: – Zdaje się, że jednak będziemy musieli spróbować inaczej.

¹ *Rożek* – wystający element z przodu siodła, na którym kowboje owijali linę, by na przykład łapać nią bydło.

– Bez sensu było w ogóle próbować wyciągnąć wóz za pomocą tego czegoś – głośno skrytykował go Masten. – Gdybyś przyczepił konie do wozu, po tym jak wyciągnąłeś go z tej dziury...

Jeździec spojrział na malkontenta zwężonymi oczami.

– No, no, to przecież Willard! – odezwał się zaskoczonym tonem. – Stoi tam i znów miele ozorem! I smuci się, bo nie zamierzam się zamoczyć! Cóż, cholercia. Obstawiam, że nic innego nie da się zrobić, tylko wrócić po karosze i zaprząć je do wozu. Jest tu kupa błota, jasne, ale zdaje się, że trochę błota nie popsuje tych twoich ślicznych bućków. Przyprowadzę konie i będziesz mógł pogadać sobie do nich.

– Dzięki – odparł Masten kpiąco – wystarczająco się już zamoczyłem jak na jeden dzień. Nie wątpię, że potrafisz wyciągnąć wóz swoimi własnymi prostackimi metodami. Nie będę się wtrącał, możesz być tego pewien.

Oddalił się od brzegu gniewnym, wyniosłym krokiem i udał w górę zbocza, do miejsca odległego od wozu o kilka stóp. Stojąc tam, spoglądał nad rzeką błota na dziewczynę i pozostałych, przy czym wydawało się, że myśl o dalszej konwersacji z jeźdźcem napęlała go pogardą.

Ten ostatni odwzajemnił spojrzenie z ukosa, ze złośliwym rozbawieniem w oczach. Następnie zawrócił konia, podjechał z powrotem do wozu, ostro zakręcił, kiedy był już prawie przy nim, i poprowadził kuca w górę zbocza, w wyniku czego Masten znalazł się między liną a błotem. Napiął linę, ustawiając dyszel i koła wozu pod kątem, spiął konia ostrogami i skierował go w stronę lepkiej mazi w taki sposób, że lina utworzyła ćwierć okręgu. Była to uświęcona tradycją taktyka, która, jak się spodziewał, miała zaowocować szarpnięciem prowadzącym do uwolnienia wozu.

Jeżeli podejrzewał, że ten zabieg może wywołać jakieś inne skutki, nie dawał tego po sobie poznać. Jedyne dziewczyna, któ-



Napięta lina przemieściła się gwałtownie, uderzyła Mastena w dół pleców, uniosła w górę i nie dając mu żadnych szans, wrzuciła w błoto.

ra przypatrywała mu się wnikliwie i widziała błysk zawziętości w jego spojrzeniu, wyczuła, że postanowił osiągnąć podwójny efekt, i krzyknęła do Mastena. Ostrzeżenie było spóźnione. Napięta lina przemieściła się gwałtownie, uderzyła Mastena w dół pleców, uniosła w górę i nie dając mu żadnych szans, wrzuciła w błoto, w którym wylądował twarzą w dół, a w tym samym czasie, oswobodzony wóz przemknął obok niego ku wolności.

Jeździec zatrzymał wóz na wznoszącej się w górę drodze, dopiero kiedy znalazł się daleko od brzegu. Balansując nim tak, aby nie stoczył się z powrotem w błoto, odwrócił się i popatrzył na Mastena. Ten był już na nogach, opryskany błotem i rozjuszony.

Jeździec przeniósł wzrok z Mastena na dziewczynę, a na twarzy miał wyraz obłudnej powagi. Oblicze dziewczyny pokrył rumieniec oburzenia na zniewagę, która spotkała jej przyjaciela. Wcześniej ukarała go za zazdrość i w umiarkowanym stopniu przyłączyła się do drwin, ale teraz, kiedy jeździec zobaczył jej twarz, stało się dla niego oczywiste, że żywi urazę za upokorzenie, którego świadkiem właśnie się stała. Jej postawa była sztywna, dłonie zaciśnięte, ręce trzymała ciasno przy bokach, głos miała lodowaty, a jednocześnie ochrypły od powstrzymywanych emocji.

– Przypuszczam, że powinnam podziękować panu za wydobywanie wozu – powiedziała. – Ale ta... ta nikczemna sztuczka... – Przestała panować nad sobą. – Chciałabym być mężczyzną! Wtedy nie udałoby się panu uniknąć kary!

W jego oczach pojawiła się skrucha. Przez króciutką chwilę żałował tego co zrobił i jego żywy umysł już opracowywał jakieś usprawiedliwienie. Jednak kątem oka zauważył, że wuj Jepson mruga do niego z dziką aprobatą, i na jego twarz zaczął wpływać szeroki uśmiech. Spróbował go powstrzymać, ale pogłębiające się zmarszczki wokół oczu nie szły w parze z poważnym wyrazem ust.

– No cóż, nie chciałem mu zrobić krzywdy, psze pani – oświadczył. – Widzi pani, akurat tam był, no i może trochę zebrało mi się na żarty, no i...

Jego wzrok powędrował w kierunku Mastena, który zeszkrobywał błoto z ubrania za pomocą małego płaskiego kamienia. Oczy jeźdźca rozszerzyły się, a wokół nich pojawiło się więcej zmarszczek.

– Ojej, pobrudziłem mu tę białą koszulę – powiedział jakby do siebie, głosem przepełnionym grozą, po czym, gdy Masten pogroził mu pięścią, poddał się przepełniającej go wesołości i pochylił głowę.

Uniósł ją na dźwięk ostrzeżenia wykrzyzanego przez wuja Jepsona. Ujrzał zbliżającego się Mastena, z dłonią zaciśniętą na idiotycznej kaburze przy pasie, obietnicą śmierci w oczach i powarkiwaniem wydobywającym się zza wyszczerzonych zębów.

– No, Patches! – rzekł na to jeździec kamiennym tonem przypominającym szybki trask bicia, a łaciaty koń natychmiast naprężył wszystkie mięśnie i w odpowiedzi na energiczne ściśnięcie kolanami ruszył gwałtownie do przodu, przez błoto, prosto na Mastena.

Zanim więc Masten zdążył dobyć broń z kabury, miał przed sobą groźną i budzącą respekt postać. Pociągła twarz jeźdźca znajdowała się tuż przy jego własnej, a tkwiące w niej oczy były zdecydowane, niebieskie i tak zimne, że Masten zapomniał o chłodzie panującym w powietrzu. Jeden z ciężkich rewolwerów jeźdźca celował z bliskiej odległości w głowę Mastena, pokaźny wylot lufy wyglądał niczym zapowiedź nieszczęścia, a głos pochylającego się w siodle jeźdźca był przyciszony i pełen napięcia. Dziewczyna nie słyszała słów, które wypowiedział:

– Posłuchaj słów prawdy, świnió unurzana w błocie. Na tej ziemi rządzą mężczyźni i albo zachowujesz się jak facet, albo

masz tak przerąbane, że nawet się nie zorientujesz kiedy! A ty cały czas jesteś jak chłoptaş. Marudzisz i jęczysz odkąd zobaczyłem cię stamtąd, z płaskowyżu. Ta dziewczynka myśli, że wspaniały z ciebie facet, z prawdziwego zdarzenia. Ogarnij się! Bądź mężczyzną, albo dopadnę cię i wypatroszę! Pakuj tego krowca z powrotem tam, gdzie jego miejsce albo ci go odbiorę i wpakuję do gardła! Rób co mówię!

Pistolet wrócił do kabury, a twarz Mastena była śmiertelnie biała pod plamami błota.

– A teraz uśmiechnij się, mięczaku! – odezwał się jeździec tak samo przyciszonym głosem jak wcześniej. – Uśmiechnij się, jakbyś właśnie odkrył, że jestem bogatym wujkiem z Frisco, który przyjechał z tacą pełną złotych samorodków¹ i chce, żebyś wydał je na białe koszule. Uśmiech, albo zafunduję ci ślinotok!

Na ustach Mastena pojawił się uśmiech; był sztuczny i wymuszony, ale jeźdźcowi wystarczył. Wyprostował się w siodle, jego sześciostrzałowiec² zdematerializował się w magiczny sposób, a w spojrzeniu skierowanym na dziewczynę widać było autentyczną wesołość.

– Przeprosiłem Willarda, psze pani – oznajmił. – Nie będziemy już dla siebie niemili. Chyba może mi pani teraz wybaczyć. Za nic nie chciałem być nieżyczliwy.

Dziewczyna popatrzyła na Mastena z powątpiewaniem, ale przez błoto nie była w stanie ocenić wyrazu jego twarzy.

– Cóż, cieszę się – powiedziała, rumieniąc się z zakłopotania. – Z pewnością nie pomyślałabym, że ktoś tak uczynny jak pan mógłby okazać się na tyle nieżyczliwy, żeby umyślnie wrzucić kogokolwiek w błoto. – Opuściła wzrok. – Przepraszam, że odezwałam się do pana w taki sposób – dodała.

¹ *Samorodek* – bryłka metalu, zwłaszcza szlachetnego, powstała w przyrodzie (nie ruda)tu na pewno chodzi o bryłkę złota.

² *Sześciostrzałowiec* – rewolwer sześciostrzałowy.

– No cóż, ja też przepraszam, psze pani – odrzekł poważnie. Skierował konia przez błoto i zatrzymał się obok niej. – Jak zgodzi się pani na uścisk dłoni na zgodę, będę bardzo uradowany.

Jego dłoń powędrowała w jego stronę. Ujął ją i ścisnął serdecznie, patrząc na nią z zachwytem, ponieważ rękawiczka nie była w stanie ukryć tego jak jest kształtna i filigranowa. Następnie puścił ją i uklonił się zdejmując kapelusz.

– Dziękuję, psze pani – powiedział. – Do zobaczenia za jakiś czas. Mam nadzieję, że się tu pani spodoba.

– Z pewnością.

Uśmiechnął się i odwrócił by odjechać. Zatrzymał go jej głos.

– Czy mogę wiedzieć kto wybawił nas z kłopotów?

Zaczerwienił się aż po cebulki włosów, ale popatrzył na nią.

– No cóż, jasne, psze pani. Jestem King Randerson, zarządca Diamond H, kawałek w górę rzeki. To znaczy – dodał czerwieniąc jeszcze bardziej – na chrzcie dali mi King, ale jakiś czas temu jeden profesor makaroniarz, który nocował w Diamond H, wygadał chłopakom, że King to po łacinie Rex. No i od tamtej pory nazywam się Rex Randerson, chociaż przeważnie piszą Wrecks. W tych stronach nikt nie przejmuje się zasadami.

– Cóż, nie mogę się nie zgodzić! – odparła dama zapisując w pamięci intensywność błękitu jego oczu. – Ale jestem pewna, że chłopaki robią błąd w pańskim imieniu. Biorąc pod uwagę ostatnie pana działania, powinno się je pisać Reckless¹. Tak czy inaczej, dziękujemy.

– I wzajemnie, psze pani. Do zobaczenia.

¹ King to oczywiście „król”, podobnie jak łacińskie *rex*; słowo *wrecks* nie kojarzy się dobrze, ponieważ *wreck* to „wrak”, również w odniesieniu do człowieka; nie wydaje się jednak, żeby znajomi Randersona mieli na myśli to ostatnie; chyba po prostu chodzi o ich problemy z pisownią, ponieważ wymowa słów *wrecks* i *rex* jest taka sama; słowo *reckless*, gdzie *reck* brzmi tak samo jak *wreck*, znaczy „brawurowy”, „lekkomyślny”.

Uśmiech, który skierował w stronę ciotki Marthy, rozszerzył się w zetknięciu ze wzrokiem wuja Jepsona, po czym przeszedł w szyderczy grymas przeznaczony dla Mastena. A potem kuc przejechał z chlupotem przez rzekę.

Patrzyli jak kieruje się w górę zbocza po przeciwnej stronie wody, wstrzymali oddech, kiedy koń wspinał się stromym podejściem na płaskowyż. Zobaczyli, że zatrzymał się, po tym jak wjechał na górę, i widzieli że macha do nich kapeluszem. Ale nie dostrzegli, że po przejechaniu kawałka drogi, na powrót stanął w miejscu i pocałował wewnątrz tej dłoni, w której niedawno spoczywała jej dłoń.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!